

# RYKI I FRYDERYKI

Zjawisko społeczne, określane potocznie (i niewłaściwie) jako „szanty”, rozwija się nadal wraz z wszystkimi wynaturzeniami, głównie ilościowo. Niektórym zawziętym „animatorom masowości” nie wystarczą już tysiące osób na koncertach. Śnią im się media i... „Fryderyk!”.

Jerzy Rogacki

W numerze 7(5)/99 naszego magazynu (artykuł „Wojna szanty z karnawalem”) Marek Remiszewski wspomina o toczącej się rzekomo w kuluarach „wojnie starych z nowymi” i zarzuca mi: brak kontaktu z rzeczywistością, koniunkturalizm w ocenie festiwalu i publiczności, sugerując, iż uważam, że dobre festiwale to tylko te, które ja sam organizuję. Zupełnie też niepotrzebnie, najprawdopodobniej z rozpędu, miesza do tego powszechnie szanowany zespół „Cztery Refy”. Najchętniej wysłałby mnie na emeryturę, żebym nie przeszkadzał mu w lansowaniu Jak Najbardziej Masowej Rozrywki, często postrzeganej jako Ewidentnie Komercyjna Tandeta, pod modnym hasłem „szanty”.

W dość sympatycznym, ale nad wyraz plotkarskim środowisku, w którym często się obracam (i na liczbę zaprzyjaźnionych osób nie narzekam), spotykam się w kuluarach z różnicami poglądów na temat formuły, programu i organizacji różnych festiwali oraz występujących tam wykonawców i ich repertuaru. I bardzo dobrze. Między innymi dzie-

ki temu każdy festiwal ma szansę być inny, a organizatorzy nie muszą się uczyć wyłącznie na swoich błędach. Nie wiem tylko, dlaczego nazywa się to wojną. Doskonałych festiwali nie ma, ale te, które istnieją, nie powinny spoczywać na laurach. Lista niedoskonałości (kiepska akustyka, oświetlenie, scenografia, przypadkowy program itp.), o której wspomina „Remik” (i tu się z nim zgadzam), jest przeważnie znacznie dłuższa.

Kontakt z polską (i nie tylko) „rzeczywistością szantową” mam dosyć ścisły od ponad 25 lat. Z dużym zainteresowaniem i uwagą śledzę rozwój wypadków i przemiany, które występują w tej dziedzinie. Nie wszystkie mi się podobają. Staram się jednak być obecny na wszystkich ważniejszych i wielu mniej znanych festiwalach i przeglądach czy to jako obserwator, czy dziennikarz, czy juror, czy też wykonawca, ale przede wszystkim jako wielki miłośnik pieśni żeglarskiej. Często nasuwają mi się pewne spostrzeżenia i wnioski, którymi staram się podzielić z zainteresowanymi, niekiedy wy-

powiadam je publicznie. Nigdy jednak z nikim nie walczyłem, ponieważ sądzę, że obecna formuła muzyki folkowej jest wystarczająco obszerna i każdy może sobie znaleźć w niej miejsce, niekoniecznie z etykietką „szanty”.

Jeżeli chodzi o festiwale i koncerty, które organizuję, to uważam, że nie mam się czego wstydzić, chociaż na pewno daleko im do doskonałości. Ich formuła jednak wyklucza udział niektórych, nawet bardzo utalentowanych zespołów, i to wcale nie z powodów osobistych ani też wymyślonych wojen czy bitew. Doceniam i szanuję „Kowala” za koncerty dla dzieci, niektóre „młode i nowoczesne” zespoły (m. in.: „Mietek Folk” - za własną, oryginalną twórczość, łączącą elementy żeglarskie z muzyką folk-rockową, „ODN” za witalność, muzykalność i łatwość nawiązywania kontaktu z publicznością). Preferuję jednak te formacje, które zdecydowały się pójść trudniejszą drogą (m. in.: WIKINGOWIE, QFTRY, SEGARS, NORTH CAPE). Podoba mi się też podejście do piosenki żeglarskiej



Wykonawcy tegorocznego festiwalu szantowego w Łławie nie mogli na swoją publiczność narzekać

i styl, reprezentowany przez zespół STARA KUŹNIA, który trudno nazwać nowoczesnym, ale też nie jest tradycyjny.

Publiczność ma każdy taką, na jaką zasługuje. Ja na swoją nie narzekam. Cieszę się bardzo, kiedy żywo reaguje oklaskami, wspólnym śpiewem czy żywiołowymi tańcami, ale potrafi także w skupieniu i milczeniu posłuchać spokojnej ballady. Na dużych imprezach jest to już prawie niemożliwe. (Nie tak dawno temu, w Giżycku, nasza „szantowa” publiczność wygwizdała Anię Sojkę i duet Czech, tylko dlatego że ich repertuar mocno odbiegał od oczekiwań tłumu.) Spora część podpitych i naćpanych ma-

łolatów żyje własnym życiem i żadna muzyka im nie przeszkadza, pod warunkiem, że jest dostatecznie głośna. Chwilowy zanik łomotu, który głównie wnoszą perkusja i przeważnie przesterowana gitara basowa, oznacza przerwę w zabawie i gwizdy oraz wrzaski, zawierające niedwuznaczne komentarze. Taką publiczność na koncertach z szantą w nazwie rzeczywistość nie podoba mi się w ogóle i wcale się z tym nie kryję.

Zjawisko przechodzenia jakości w ilość, znane dobrze nie tylko Markowi, ma wiele skutków ubocznych, szkodliwych społecznie. Wzory zachowań tłumu, wyniesione z gigantycznych imprez, przenoszą się

w dużej mierze na inne festiwale i coraz bardziej deprecjonują i tak nadużywane hasło „szanty”. Odpowiedzialność jednak spoczywa na animatorach rozrywki masowej i wykonawcach, którzy często zbyt daleko się posuwają w zaspokajaniu potrzeb publiczności i swoich własnych. „Remik”, w pogoni za następnym koncertem swojej grupy, najprawdopodobniej o tym zapomina. Cóż, ludzie z wyobraźnią starają się rzeczywistość kształtować, pozostali dostosowują się do niej świadomie (z różnych powodów) lub bezmyślnie jej ulegają. Efekty obserwujemy na koncertach.

Fot. Stawomir Jarmusz